Nr. 2. Lwów dnia 1. Lutego 1893. Rok I.

Wychodzi
1. i 15. każdego miesiąca.

Cena prenumeraty:
we Lwowie:
Rocznie . . . . 1 zł. 20 ct.
Półrocznie . . . . 60 ct.
Kwartalnie . . . . 30 ct.

Na prowincji:
Rocznie . . . . 1 zł. 50 ct.
Półrocznie . . . . 75 ct.
Kwartalnie . . . . 40 ct.

Numer pojedynczy 6 ct.

ŻYCIE

dwutygodnik
polityczny, społeczny i ekonomiczny.

Ceny ogłoszeń:
Od objętości wiersza petitem za jednorazowe umieszczenie po 6 ct.

Reklamy w rubryce **Nadesłane** po 20 ct. od wiersza.

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Pieniądze należy przesyłać pod adresem
Administracja „ŻYCIA“
Lwów, ul. Żulińskiego 9.

Redakcja: Lwów, ul. Kopernika l. 5.

Kwestja żydowska.

Jedną z najtrudniejszych spraw do rozwiązania jest obecnie kwestja żydowska, którą zajmuje się nie tylko Europa lecz cały świat w ogóle, szukając punktu wyjścia z zaczarowanego koła, w jakie wplątał ostatnie dziesiątki dziewiętnastego stulecia prąd antysemityzmu, przejawiający się w coraz wyraźniejszych zarysach od wschodu po zachód, od północy na południe. —»Precz z żydami!« oto wszechpotężne dziś hasło, rozbrzmiewające po całym obszarze globu.

Walka podjęta przeciw, szeroko rozsiadłym po wszystkich krajach, wyznawcom wiary Mojżesza musiała wytworzyć u żydów konieczność własnej obrony i skupiła ich do wspólnego działania, celem odwrócenia tego hasła na inny przedmiot a równocześnie skierowania go na inne, mniej groźne dla żydów drogi.

Nie można się żydom dziwić, że widząc się zagrożonymi ze wszech stron, stają do zaciętej obrony i nie przebierają w środkach. Jeżeli już nic innego to sam instynkt samozachowawczy prze ich do odporu i do przełamania tym lub owym sposobem prądów, niebezpiecznych dla ich bytowania. Każda zaś walka prowadzona z pewną obustronną zaciętością, zaostrza samą sprawę i wytwarza z czasem sytuację prawie bez wyjścia.

W tem stadjum znachodzi się dziś sprawa żydowska Ci którzy podnieśli hasło antisemityzmu i akcję prowadzą z nieprzebłaganą konsekwencją ku ostatecznemu celowi, a tem jest: »pozbycie się żydów z pośród siebie« nie widzą końca walki, a raczej nie są w stanie wynaleźć ostatecznej drogi, którąby podjęta przez nich akcja mogła być doprowadzoną do skutku. Lecz myśl raz rzucona kiełkuje i zakreśla coraz szersze kręgi, ogarnia potężnemi ramiony wielkich i maluczkich, świadomych i tych którzy nie umiejąc sobie z niej zdać sprawy idą za ogólnym prądem i łączą swe głosy w wspólnym chórze: »precz z żydami!«

Nienawiść do żydów czy to świadoma, czy instynktowa lub też agitacyjnymi wywołana środkami rozrasta się i potężnieje i jeżeli sprawa sama nie zostanie i to w krótkim czasie rozwiązana racjonalnie i stanowczo, może doprowadzić do kataklizmu o nieobliczonych dziś następstwach.

Sposób prowadzenia walki z żydami różni się w różnych krajach i w miarę wyższej lub niższej kultury autochtonów i odpowiednio do charakteru narodów przybiera odmienne formy. — Ale walka wre wszędzie gdziekolwiek rozprószony Izrael obrał sobie siedlisko.

Zastanowić się wypada dlaczego i skąd wytworzyła się wszędzie taka bezdenna nienawiść przeciw żydom?

Niema na kuli ziemskiej tak jednolitego narodu, któryby w sobie nie mieścił także obcy mu element napływowy, który nie zawsze i nie wszędzie zasymilował się z ludnością rdzenną i przez całe wieki zachowuje swą odrębność pod względem narodowości, a często i wyznania. A jednak nie słychać, żeby gdzieś z tymi przybyszami wszczynano podobną walkę na życie i śmierć jak się to dzieje z żydami. Być może iż z takimi przbyszami obcej narodowości ludnośc plemienia nie zawsze żyje w bardzo serdecznych a nawet w zażyłych stosunkach, może w pewnych sprawach przejawiają się tam odrębne dążenia, które czasami zakłócają spokój domowy, ale są to wypadki sporadyczne i zazwyczaj przejściowe, które prędzej lub później przebrzmiewają i toną w zapomnieniu.

O kwestji żydowskiej nie możnaby tego powiedzieć.

Rozdmuchana raz niechęć do żydów nie słabnie ani nie przemija, przeciwnie potężnieje z każdą godziną i tak jak dziś rzecz stoi, wyklucza po prostu *modus vivendi* z nimi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

1859-1863.

WSPOMNIENIA Z ŁAWY SZKOLNEJ

napisał
Edward Webersfeld.

(Dokończenie).

Inni profesorowie pomagali sobie i tak i siak — była tam część wykładu i polska ale niemiecki język przeważał.

Jedynie ks. Eugeniusz Janota używał wyłącznie polskiego języka i to on właśnie, któremu powierzono wykład *niemieckiego*, jakby na drwiny ze wszystkich rozporządzeń i ukazów, mówił z nami zawsze po polsku.

Raz starł się o to z dyrektorem, lecz wręcz mu powiedział:

»Jak bałwany poduczą się po niemiecku, będę z nimi rozmawiał tym językiem«.

W gronie profesorów mieliśmy tylko jednego Niemca, starego Schneidra, który klął jak huzar, krzyczał jak trąba jerychońska i zażywając raz po raz tabakę, walił *eine dritte!* Był to w gruncie dobry człowiek i względny, niecierpiał tylko żydów, a kilku naszych kolegów mojżeszowego wyznania *hat er sekirt bis aufs Blut.*

Dyrektorem był wówczas Klemensiewicz, człowiek starszy, przesiąknięty na wskroś panującym systemem, któremu poddawał się w całości i wykonywał dane mu polecenia bezwzględnie. — Nie miał sympatji u młodzieży, która przed nim drzała.

W tych warunkach upłynęło 4 lat do roku 1860 bez nadzwyczajnych zdarzeń w jednostajnym trybie naszego studenckiego żywota. — Paplaliśmy po niemiecku ale tylko między murami gmachu szkolnego, minąwszy raz bramy gimnazjum drwiliśmy z wszelkich nakazów a po ulicy rozlegała się wszechwładnie mowa ojczysta. Że tam w następną Sobotę ten lub ów przesiedział kilka godzin *für polnisch Sprechen* nikogo to nie obchodziło i z wesołą miną szliśmy pod klucz czerwono-nosego Bartłomieja, cerbera gimnazjalnego.

Instynktownie przeczuwaliśmy atoli jakąś zmianę, a słuchając rozmowy starszych domyślaliśmy się, że na coś się zanosi, z czego nie umieliśmy sobie jednak zdać sprawy.

Z początkiem I. kursu r. 1860 tj. we Wrześniu stawały się nasze domysły śmielszemi i różne oznaki przepowiadały tę spodziewaną zmianę.

Profesorowie przestrzegali mniej skrupulatnie *das deutschsprechen*, nawet pan dyrektor odzywał się czasami po polsku, co wywoływało niezwykłą senzację między młodzieżą.

Pewnego dnia, a było to w połowie Października, wszedł do klasy ś. p. Uniszewski z rozpromienioną twarzą i odpowiadając na nasze *dzień dobry*, którem witaliśmy go zawsze, rzekł:

»Chłopcy, tylko sza! — będzie u nas inaczej!«

W jednej chwili otoczyliśmy ukochanego profesora i szarpiąc nim na wszystkie strony, dalej się wypytywać:

»Panie profesorze! co będzie inaczej? kiedy to inaczej nastąpi?« i t. p.

»Sza warjaty!« zburczał nas dobrotliwie, dodając: »Nie mogę więcej powiedzieć... ale mówię wam, że będzie lepiej.«

W tej chwili dały się słyszeć głośne kroki na korytarzu. Uniszewski poskoczył na katedrę i zakomenderował głośno: *Oremus!*

Emigracja ruskiego ludu.

Smutnego dramatu widownią są nasze wschodnie kresy od pewnego czasu. Z jednej strony lud nasz ruski, ten nasz żywiciel i pomimo swej nędzy dobrodziej, rozpoczął gremialną wędrówkę za granice kraju, w objęcia cieszącego się szkodą naszą wroga, z drugiej strony kraj, a mianowicie miarodajne jego sfery, t j. kierownicy nawy publicznej i prasa przyjęły fakt ten z niezwykłą obojętnością. Nie zastanawiając się wcale nad tem, że chyba tylko bardzo ważne powody, że chyba z siłą żywiołową działające, a najgłębszych podstaw bytowania sięgające przyczyny mogły skłonić ten lud tak nawskróś konserwatywny i do zagonu ojcowskiego po nad wszystko i wszystkich przywiązany, do wychodźtwa w tych rozmiarach, jak ono wystąpiło, krzyknięto na okół wielkim głosem „*agitacja*“.

Gdy w wielkim zbiorowisku ludzi n. p. w kościele choćby żartem ktoś zawoła „*pali się*“ tłum cały strachem panicznym porwany, ucieka, z wyciem „*pali się*“, pomimo, że nikt płomienia ni dymu nie widzi, ni swędu nie czuje, tak wśród prasy naszej i licznych kół obywatelskich nie słyszałeś nic przez długi czas oprócz wołania „*agitacja*“. Bez żadnych pozytywnych dowodów, bez silnych nawet poszlak osądzono doraźnie tak doniosłą sprawę. Nie jest że to dowodem rażącej lekkomyślności? Pojedyńczemu obywatelowi wolno przypuszczać, opierać swe sądy na przypuszczeniach, lecz nie wolno tego czynić prasie, która chce stać na straży interesów i spraw ojczystych i kierować opinią publiczną. Tam lekkomyślność jest zbrodnią gdy wypływa z winy kierowników tej opinji drukowanej a świadectwem niedołęstwa, gdy pochodzi z nieznajomości rzeczy i stosunków. Czy ktokolwiek znający stosunki kraju i ludu naszego mógłby po trzeźwemu przypuścić na chwilę, że wyłącznie agitacja polityczna i robata krecia, takie sprowadziła skutki, i taką wywołała rewolucję w umysłach tysięcy wieśniaków, zamieszkujących powiaty graniczne, Głębiej należy sięgnąć jeżeli chcemy się dopatrzeć właściwych przyczyn tego niezwykłego ruchu emigracyjnego. Przyszedł czas ocknięcia się bo już teraz te same organa i czynniki, co przed niewielu tygodniami przysięgały na agitację«, przyznają, że przyjęła się ona z powodu bezmiernej nędzy i rozpaczliwych wprost często warunków życia wieśniaków.

A zatem nie agitacja przyczyną klęski lecz ta właśnie nędza, ta bieda głodem często brzemienna co wpiła swe szpony w ciało naszej ludności wiejskiej i jak kleszczami ją ściska. Tu jądro rzeczy. Agitacja na tem tle chociażby i była, to już nie wiele mogła zaważyć, tak, że śmiało można jej nie brać w rachubę, zwłaszcza, gdy udowodnioną już jest rzeczą, że nie poczciwy sąsiad ją wywołał i prowadził; — on ją tylko wyzyskał. Trudno objąć umysłem rozmiary tego strasznego niedostatku, w jakim tonie nasz chłop szczególniej w niektórych okolicach nadgranicznych; miarą pewną jednak mogą być skutki moralne tak doniosłe jak odszczepieństwo od wiary ojców u tych wychodźców. Smutne to, ale prawdziwe. I nie moralizować nam wypada, bo żadne teorje tutaj nie pomogą, ale wstąpić aż do głębin stosunków włościańskich i tam szukać głowy tej hydry. Niestety stało się inaczej. Dramat graniczny zamiast skupić uświadomione żywioły do walki z wrogiem i grożącą klęską rozprzągł je jeszcze bardziej.

Wygodnie to, gdy się zawiniło, zwalić winę na kogoś i zamiast sobie drugiemu robić wyrzuty. I w tej sprawie znaleziono kozła ofiarnego w postaci ruskiego duchowieństwa dowodząc, że lud przechodzi na szyzmę, i porzuca swój obrządek, bo nie ma przywiązania do swojej cerkwi z winy księży, którzy zajmują się więcej polityką jak umoralnieniem »powierzonych mu owieczek.« W tych poglądach znalazł swe źródło znany okólnik biskupów ruskich, który zyskał »pod Kawkami« *imprimatur*.

Odezwę powyższą można streścić w dwóch zdaniach: »Duchowieństwo ruskie zgangrenowane, do gruntu podminowane, nieobywatelskie, słowem najpodlejsze.« Pytamy każdego oceniającego rzecz, bezstronnie czy twierdzenie takie wytrzymuje najlżejszą choćby krytytykę, czy gdyby nawet tak było, (co jest absolutną z resztą nieprawdą, bo z pojedyńczych jednostek nie można sądzić o całym stanie,) podobny krok był politycznym? Czy zohydzenie ruskiego kleru w oczach ludu powierzonego duszstarownictwu swoich parochów podniosło zaufanie kmiotka do swego proboszcza, czy w obec wstecznych prądów, godzących dziś na wiarę i kościół było wskazane takie podkopanie powagi ogółu duchowieństwa? Niechaj na to odpowiedzą ci, którzy się chwycili takich środków.

Zamiast okłamywać siebie i szukać niby — ratunku w półśrodkach należałoby raczej stanąć w oczy prawdzie i rzeczywistości i szukać przyczyny złego tam gdzie ona tkwi.

Naród ruski czy polski to masa uświadomionych po części obywateli, która wie że ma pewne prawa lecz że różnorodne zakładają jej kagańce i nie pozwalają wypowiedzieć tego co myśli, tego co jej dolega, co ją boli.

Czas, zaprawdę ocknąć się i porzucić politykę zielonego stolika a wziąć się na serjo do rozpatrzenia stosunków i usilnej a intenzywnej pracy nad poprawą doli ludu naszego, do poruszenia wszelkich możliwych środków i sposobów, choćby to było połączone z ofiarami innych stanów. Do niedawna był chłop niewolnikiem pańszczyźnianym, dziś jest stokroć gorszym niewolnikiem nędzy i korzystającego z niej brata żyda. Przy ogniu tym pieką też swą pieczeń: wielka polityka, klika karjerowiczów i jeszcze ktoś trzeci.

Ogół społeczeństwa sądzi, że wiele zrobił, gdy podniósł półgębkiem jakiś niewykonalny projekt opieki nad ludem, lub gdy w sejmie albo w prasie odezwie się raz do roku jakiś niewyraźny głos, rozprawiający na temat nędzy pośród ludzi i potrzeby zaradzenia złemu. Projektami nikogo nie nasyci ani nie odgoni biedy u półtrzecia miliona nędzarzy.

Dlatego ostatni czas zerwać z obstrukcyjną polityką krótkowidztwa, która takie fatalne wydaje owoce i najwyższa pora ująć się z zakasanemi rękami do rzetelnej pracy nad ludem, tą podstawą bytu narodów, jeżeli nie chcemy biadać w przyszłości nad dalszemi nieszczęściami kraju i wywodzić niewczesne żale nad własnem niedołęstwem.

Do pracy.

Dzisiaj podnosimy to hasło, raz dla tego, że rozpamiętując klęski spadłe na nas przy końcu ubiegłego wieku, uważamy chwilę obecną za najodpowiedniejszą, a powtóre, podnosimy je tem silniej i pewniej, że czuć się daje w naszem społeczeństwie chęć polepszenia stosunków. Terazby był już najwyższy czas stanąć raz na nogi, rękawy zakasać i jąć się pracy sumiennie, nie odkładając na chwilę stosowniejszą, bo znów zmarnujemy lat dziesiątki i żadnego dorobku nie zostawimy przyszłemu pokoleniu, które osądzi nas z całą bezwzględnością.

Po mieście krążyły głuche wieści o bliskiej zmianie dotychczasowego systemu, mówiono o jakichś ulgach, o konstytucji, o polskim sejmie i t. p.

Chwytaliśmy skwapliwie wszystkie te wiadomości i w naszem widzeniu rzeczy potęgowaliśmy każdą drobnostkę do kolosalnych rozmiarów.

Nadszedł dzień 20 Października 1860 a z nim ogłoszenie *konstytucji*, nadanej Austrji.

Ludzie biegali uradowani, wszystkie dzwony w mieście wydzwaniały hymn radości, jedni płakali ze szczęścia, inni wzruszali ramionami, lub bawili się w niedowiarstwo, słowem istny chaos i zamieszanie w całem mieście.

Na spiskim pałacu, siedzibie gubernatora, na Wawelu, ogółem na wszystkich budynkach rządowych zatknięto czarno-żółte chorągwie, w kościele na Zamku odbyło się solenne nabożeństwo z »Te deum« a wieczór zabłysnęło miasto sutą illuminacją.

Mieliśmy więc konstytucję.

Nazajutrz rano wtoczył się Paszkowski do klasy, odziany w palto, pod którem był opasany dużą chustką wełnianą, związaną na plecach w węzeł.

»Zubrzycki! chodźno tu chłopcze i rozwiąż mi chustkę!«

Otworzyliśmy usta i nastawili uszy. Cóż za zmiana? Paszkowski mówi po polsku.

Zubrzycki przeskoczył przez wierzch ławki i stanął za profesorem, dobierając się do węzła.

»*Brauchst nicht zu springen, Hallunke einer.*«

»Proszę pana profesora! teraz konstytucja to można już mówić po polsku!« odpowiedział Zubrzycki z złośliwym uśmiechem.

»Dam ja ci tu zaraz konstytucję *du Schlingel! marsch auf deinen Platz und du* Bałwański *komm her und entbinde mir diesen gudz.*«

Cichy szmer przeszedł po sali lecz go profesor nie zauważył. Wdrapał się na katedrę, przetarł zapocone okulary, potarł kilka razy okazały swój nos lewą ręką, głaszcząc równocześnie prawicą siwe faworyty, odchrząknął i zaczął:

»*Aso kommen wir jetz zum dreissigjährigen Kriege...*«

»Po polsku, po polsku!« odezwały się głosy ze wszech stron.

Profesor powiódł zdziwionemi oczyma po sali, podgarnął włosy na czole, potarł nos, wykręcił lewy faworyt i chrząknąwszy wrzasnął:

»*Stille!* cy pu polsku, cy pu niemiecku, to mnie jest *alles eins.* Każą pu polsku to będzie pu polsku, a że tera je po niemiecku to *halts Maul.*«

Na takie dictum nie było już ustnej repliki, natomiast zagrzmiała sala formalnem wyciem pięćdziesięciu trzech zdrowych gardzieli i stukiem podwójnej ilości nóg.

Wystraszony wybiegł Paszkowski, schwyciwszy się oburącz za głowę i wrócił w towarzystwie dyrektora, który zarządził surowe śledztwo i całą klasę zasadził na czterogodzinny areszt. Godziny dokończył starowina w asystencji Klemensiewicza, przed którym mieliśmy straszny *mores.*

W tydzień po tym wypadku wpada przed samą 8-mą do klasy jeden z kolegów i ogłasza, że profesor Uniszewski idzie w czamarce. Okropny hałas powstaje w sali i w okamgnie-

Głodno nam i chłodno! Wszak prawda! Byłożby nasze położenie może wynikiem przypadkowych stosunków? czy jakieś złowrogie fatum zawisło nad naszymi głowami i nie możemy go uniknąć. Czy wreszcie stan to tylko chwilowy, po którym jaśniejsze nastanie jutro?

Klęski, które na nas spadły, były nieuniknionem następstwem, bo brakło nam ducha, a ręce opadły bezwładnie. Niedostatek energii, najzupełniejszy zanik wszelkiej inicjatywy, oto choroby, które toczą nasz organizm, paraliżują zabiegi szlachetniejszych jednostek i prowadzą do zwątpienia.

Kresy naszego kraju już zaczynają zalewać obce żywioły i wolno, lecz bez ustanku posuwają się naprzód, nigdzie najmniejszego nie doznawszy oporu, omal że nie zastają grunt już przygotowany.

Spojrzyjmy na zachód, na graniczny szmat kraju. Niemieczczyzna wciska się w pory publicznego i prywatnego życia, zmieniając z całą bezwzględnością polski charakter kraju. Wszędzie język niemiecki nawet w urzędach gminnych, jak w Białej n. p., a z przewagą obcego języka zaciera się poczucie polskości u mieszkańców kresu.

I w czasie kiedy każda zmarnowana chwila jest zbrodnią w obec narodu, jedni usuwają się zupełnie od obowiązków, drugim brak zaufania w przyszłość, a zaledwie garść nieznaczna staje do walki z ogólną apatją i usiłuje pracować, mimo że nie ma zbyt głębokiej wiary w dodatnie wyniki tej swojej pracy.

Lecz na tem nie koniec.

Hetman w sukmanie wskazał na materjał wielki, cenny, z którego nie czerpano do tychczas, a który zawiera nieobliczoną siłę, czerstwości. Opieszałość właściwa naszemu pokoleniu zostawiła przez długie lata to wdzięczne do pracy pole odłogiem, a wznowiona w ostatnim dziesiątku lat myśl pracy nad ludem, wydała tylko patologiczne owoce.

Unoszono się nad dobrocią i prostotą tych mas nieoświeconych, a »nasz poczciwy ludek« jak się powszechnie wyrażano, był przedmiotem uwielbiania sentymentalnie nastrojonego w tym kierunku społeczeństwa. Dopiero gdy się znudzono idealizowaniem tych, którym oświatę nieść należało, poczęły powstawać zwolna tu i owdzie towarzystwa o wielkich i szlachetnych celach. Młodzież rzuciła się do nich z zapałem, starzy propagowali ideę z entuzjazmem i kraj otrząsł się z letargu, a ręce wszystkich splatały się razem w pracy nad ludem.

Nie długo atoli wytrwał pierwszy ten zapał i utartym od dawna zwyczajem znudziły nas te nowe hasła, pojęte w dobrze zrozumianym interesie kraju i narodu.

Energja rychło osłabła, a wyrastające co chwilę nowe towarzystwa, mające na celu pracę nad ludem, znikały jak jednodniówki po krotszym lub dłuższym żywocie suchotniczym. Przyczyna niepowodzenia tych towarzystw wszędzie ta sama: »brak wytrwałości i nieszczere lecz tylko powierzchowne zajęcie się sprawą«.

I mijał znów rok za rokiem, a procent analfabetów w kraju nie zmniejszał się wcale. Od czasu tylko do czasu dochodziły głosy o wielkich chęciach i zamiarach, lecz było to wszystko, *ut aliquid fecisse videatur*. Nie zastanawiano się nad tem, że skarb, po który tylko rękę należy wyciągnąć, by przyjść w jego posiadanie, może się stać łupem prądów reakcyjnych, z którymi nas niekoniecznie wspólnie łączą interesa. Zapomniano o tem, że nie tylko mocniejszy, lecz i gorliwszy zwycięża. Zrozumiał to dobrze jeden z filarów konserwatyzmu, rektor uniwersytetu jagiellońskiego p. Madejski, wydając z początkiem roku bieżącego *ukaz*, na mocy którego pod groźą dochodzenia dyscyplinarnego (rozumiał pod tem relegację) wzbronił młodzieży uniwersyteckiej zbliżać się do warstw niższych, t. j. do ludu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Teatr prowincjonalny w Galicji.

Wiele się u nas mówi i pisze o scenie stołecznej, o jej rozwoju, o jej brakach i potrzebach. Sejm i Wydział krajowy, a nawet i Rada miejska rok rocznie poświęcają uwagą tej instytucji. Śledzą bacznie za jej rozwojem, otaczają ją swoją opieką, podnoszą głos zachwytu w chwilach jej blasku — głos oburzenia i trwogi w czasie upadku. Scena stołeczna ma wszędzie i zawsze licznych opiekunów, czuwających pilnie nad jej dobrem.

Jakże natomiast po macoszemu traktowane są sceny prowincjonalne — te główne czynniki narodowej oświaty? Czy troszczy się kto o nie? Czy jest dozór nad ich kierunkiem? Wszak i to sceny narodowe i to kapłanki ojczystego naszego słowa i ojczystej myśli — wszak i to główne czynniki rozbudzenia narodowego poczucia!

Swego czasu, gdy tylko jeden teatrzyk objeżdżał prowincję, zapoznawając mieszkańców jej ze skarbnicą sztuki dramatycznej, żywem słowem budząc w nich zapał, uszlachetniając smak, wpływając na ich umoralnienie, podnosiły się wówczas głosy rozsądne wzywające obywateli miast główniejszych do zastanowienia się nad ważnem powołaniem scen ojczystych i do rozciągnienia nad niemi opieki.

Władysław Łoziński, jeden z głównych inicjatorów tej myśli podaje nawet w czasie tym w r. 1866 kilka uwag, według których urządzone sceny wędrowne całkowicie odpowiadać będą zadaniu swemu. W swych »Pogadankach teatralnych« już wtedy wykazuje znaczenie scen wędrownych i potrzebę zaopiekowania się niemi. »U nas — pisze Łoziński — scena prowincyonalna nie ma nigdzie stalszego przytułku, koczuje wiecznie od kąta do kąta. Przy takiej włóczędze nie można nawet wymagać podniesienia się sceny prowincjonalnej. Kraj powinien się tedy postarać koniecznie o ustalenie teatrów wędrownych a przynajmniej pewnej ich części. Miasta jak Tarnów, Stanisławów, Przemyśl, mogą się zdobyć na stalsze utrzymanie sceny. Wykształcona ludność miejska i okoliczne obywatelstwo powinny sobie w tym celu podać ręce«.

Myśl ta rzucona przed 25 laty znalazła w czasach naszych wykonanie i to w sposób wyżej skreślony. Miasta Stanisławów i Tarnów, zrozumiawszy dobrze znaczenie scen rodzinnych, postarały się o zaprowadzenie stałych teatrów w swych murach. Od kwietnia r. 1892 teatr stanisławowski pod dyrekcją L. Kwiecińskiego — od września 1892 roku przeszłego teatr tarnowski pod dyrekcją Piaseckiego, spełniają swoje zadanie z chlubą dla siebie a z korzyścią dla społeczeństwa. Przebywając część roku w stałej swej siedzibie rozbudzają tamże ruch umysłowy; prowincyę zaś w przejeździe swoim ożywiają, wygłaszając przed słuchaczami to, co sercu dolega i to, czego serce pożąda; przyczyniają się tedy nie mało do rozbudzenia ducha narodowego. Stanisławów i Tarnów zrozumiały, że scena

---

niu utworzyliśmy szpaler od drzwi do katedry, czekając na przybycie naszego ulubieńca.

Zaledwie przebrzmiał odgłos dzwonka szkolnego wszedł Uniszewski do klasy w nieodstępnym swym cylindrze, lecz zamiast długiego czarnego surduta był przybrany w granatową czamarkę z zioberkami, tak zwaną Zygmuntówkę.

»Wiwat, wiwat, wiwat!« zagrzmiało w sali i w lot pochwyciliśmy go na ręce i wśród okrzyków radości obnosiliśmy na około sali.

Wrzask ten doszedł aż do kancelarji dyrektora, umieszczonej na pierwszem piętrze i w chwili kiedy postawiony przez nas na stole profesor dziękował ze łzami w oczach za tę owację, wsunął się Klemensiewicz a ujrzawszy co się dzieje wyszedł szybko napowrót i zatrzasnął za sobą drzwi z łoskotem.

Więcej nie ujrzeliśmy Uniszewskiego w klasie. Wytoczono mu dyscyplinarkę i przeniesiono w stan spoczynku.

Nulla dies sine linea mówi przysłowie i u nas nie było dnia bez nowej hecy, zawsze na jeden temat a tym było dopominanie się o polski wykład.

Każdemu z nas dostawało się od czasu do czasu po kilka lub kilkanaście godzin *carceru*, ale to w niczem nie osłabiło naszego animuszu i po wypuszczeniu z kozy krzyczeliśmy jak przedtem *po polsku!*

Nadszedł dzień 28 Listopada. Pierwszy raz ogłoszono publicznie żałobne nabożeństwo za duszę ś. p. Adama Mickiewicza, które miało się odbyć w kościele Panny Marji o 11 przed południem. Cała młodzież szkolna i uniwersytecka porozumiała się co do wspólnego, gremialnego udziału w tem nabożeństwie.

Z oddzwonieniem jednastej godziny wybiegliśmy tłumnie z klas by pójść do kościoła, lecz o dziwo! zastajemy bramę gmachu szkolnego zamkniętą na klucz a obok cerbera w postaci Bartłomieja, który na nasze zapytania odpowiada, że z polecenia pana dyrektora ma bramę otworzyć punkt o 12-tej.

Klemensiewicz dostał widocznie języka o zamierzonej demonstracji i wymknąwszy się przed 11-tą z zabudowania wydał tercjanowi rozkaz przetrzymania nas do dwunastej, to jest aż po odbytem nabożeństwie. Gorętsi chcieli bramę wyważyć lecz usiłowania ich były daremne w obec żelazem okutych, olbrzymich wrot. Bartłomiej cudem prawie zdołał skryć się gdzieś na strychu przed rozwścieczoną młodzieżą i kto wie na czem byłaby się awantura skończyła, gdyby nie któryś domyślniejszy zakomenderował:

»Wyskakujmy oknami!«

»Hura!« odpowiedziało przeszło 400 uczniów i w mig wpadliśmy do klas położonych na parterze, skąd przez otwarte okna dostaliśmy się na planty a następnie do kościoła.

Arcymądre zarządzenie pana dyrektora nie przydało się na nic, przyniosło mu natomiast w zysku owację, zwaną *kocią muzyką*, połączoną z brzękiem wszystkich szyb, wybitych przez młodzież tego samego jeszcze wieczora w prywatnem jego mieszkaniu!

jest tą dźwignią, podtrzymującą w narodzie zapał, ufność i przeświadczenie o życiu narodowem. Lecz że i cała prowincja pojmuje w ten sposób zadanie sceny najlepszym dowodem subwencjowanie teatru stanisławowskiego przez Radę Tarnopola jak nie mniej i przez Radę miasta Przemyśla która zobowiązała dyrekcję rzeczonego teatru do dawania corocznie szeregu przedstawień w tem mieście.

Poznały dobrze miasta te siłę słowa żywego; poznały dobrze, że głos ze sceny potężniejszy nad wsystko, bo zdoła rozpalić serce najzimniejsze, bo zdoła porwać słuchacza a wrażenie jakie wywrze, nie prędko się zaciera. Komuż bowiem nie zabije żywszem tętnem serce na widok kosynierów w »Kościuszce?« komuż dusza nie rwie się radośnie słysząc pieśń ze sceny, zachęcającą nas do pracy i walki z wrogami?

Prowincja zrobiła zatem swoje. Otoczyła opieką sceny wędrowne, bacząc na ich kierunek. Obecnie spada obowiązek na reprezentację kraju, by ułatwiła wędrownym teatrom spełnianie trudnego ich zadania.

Mała subwencya dla jednej chociażby sceny prowincjonalnej w Galicji nie zaważyłaby wiele na szali rozchodów budżetu krajowego.

Sprawę tę kładziemy na serce naszym posłom i stanowczo utrzymujemy że pożyteczniej będzie obdzielić subwencją teatrzyk wędrowny jak łożyć pieniądze na kształcenie diw operowych, które za nasze pieniądze postawiwszy swój głos wysoko, idą nim zachwycać obcych nad Dunaj, Sprewę lub Sekwanę.

Zapiski.

Klub urzędników c. k. poczty uchwalił powstrzymanie się od zabaw z tańcami w r. b. Tam gdzie bije prawdziwie polskie serce, wszelkie inne względy zostają na boku.

Bal w kasynie miejskim w Samborze i Monasterzyskach nie odbyi się z tej prostej przyczyny, że ani jedna z pań na nim się nie pokazała. Piękny to przykład dla innych i godny naśladowania, bo świadczy o dobrze zrozumianej solidarności.

Protest. W sprawie samozwańczego wystąpienia nielicznych jednostek w Zurychu, imieniem młodzieży krakowskiej i lwowskiej, zaznaczamy w naszem piśmie następnie: Istnieje na emigracyi stypendyum im. Ostrowskiego, przeznaczone dla młodzieży polskiej z pod wszystkich 3 zaborów. Pobierający to stypendyum podpisują deklaracyę, że pobrane kwoty będą po ukończeniu studyów ile możności zwracać i że pracować będą dla *„Polski“*.

Końcowy ten ustęp nie podobał się kilku stypendystom z »czerwonego internacyonału« do tego stopnia, że odważyli się publicznie zaprotestować imieniem młodzieży przeciw dodatkowi, który zobowiązuje moralnie stypendystów do pracy *dla Polski.*

Niech ci panowie protestują, jeśli zapomnieli iż są polakami, lecz »precz im z rękami od naszej młodzieży, która nie ma nic wspólnego z internacyonałem i uważa właśnie to zobowiązanie do pracy dla Polski na rzecz świętą.

Pomnik Kilińskiego. Lat kilka upływa od chwili, gdy podczas twardej zimy przywieziono do Lwowa ogromną bryłę kamienia, w której artysta miał wykuć postać naszego szewca-bohatera. Odbyły się różne festyny, przeznaczone na cel budowy tego pomnika, zbierano składki i t. p., a o budowie nic nie słychać. Kamień spoczywa spokojnie u p. J. Markowskiego, który prawdopodobnie nie zaraz do roboty się weźmie, a komitet budowy pomnika nie daje znaku życia. Rok 1894 niedaleko, należy więc pomyśleć na serjo o pomniku Jana Kilińskiego, mającym stanąć w parku, nazwanym Jego imieniem. Może odbyć się mająca wystawa krajowa doda nieco energii śpiącemu komitetowi, boć ten przecież nie zechce gościom wystawowym zamiast pomnika pokazać biały słup, którym oznaczono miejsce gdzie pomik ma kiedyś stanąć.

Bez opieki c. k. policji. Rektor politechniki lwowskiej prof. Józef Rychter, poczynił stosowne kroki, by na zgromadzeniach walnych tow. Bratniej pom. słuchaczów Politechniki nie miał prawa bywać reprezentant c. k. policji. Udało się istotnie szanownemu rektorowi zrobić wyłom w dotychczasowej praktyce, gdyż ostatnie walne Zgromadzenie wyż wspomnianego towarzystwa odbyło się już bez asystencji c. k. policji. Sądzimy, że wszystkie towarzystwa, a przedewszystkiem akademickie, (bo tym najłatwiej to uczynić), uwolnią się od niepożądanej opieki, biorąc za przykład Bratnią pomoc Politechników.

Rewizje policyjne przeprowadzono wczesnym rankiem dnia 27 stycznia w czterech miejscach u młodzieży lwowskiej, znanej ze swej pracy patrjotycznej. Poszukiwano, tak brzmiały polecenia, »za pismami i broszurami zakazanymi« i mimo najściślejszych poszukiwań, gdyż rewidowano pościel i bieliznę, nic nie znaleziono. Niech fakt ten będzie illustracją dla tych, którzy żądają od młodzieży gorącego zapału i pracy obywatelskiej.

Nabożeństwo żałobne. Bogu na chwałę, a Ojczyźnie na pożytek. Za spokój ś. p. poległych w powstaniu przeciw Moskwie w roku 1863 odbyło się w Dolinie dnia 1. lutego b. r. Nabożeństwo żałobne.

Od Administracji.

Prenumeratę miejscową przyjmuje biuro dzienników p. Plohna. Zamiejscową należy przesyłać do Administracji „Życia“ Lwów, ul. Żulińskiego l. 9.



Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Edward Webersfeld**. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5.